



# Meandry kariery akademickiej

Kariera akademicka to temat stary, ale wciąż otwarty i dyskutowany. Działająca od 2 lat ustawa przyniosła kilka zmian, które bynajmniej nie uspokoiły atmosfery.

Pierwszą, wciąż budzącą spory kwestię jest stanowisko profesora uczelni. Pamiętam sprzed wielu lat zastąpienie stanowiska docenta przez profesora nadzwyczajnego. O ile awansowanie doktora habilitowanego na stanowisko docenta następowało prawie bezzwłocznie (oczywiście po zatwierdzeniu przez odpowiedni komitet partyjny), o tyle zmiana nazwy tego stanowiska spowodowała duży opór, przynajmniej na mojej uczelni. Powszechnie uważano, że taki krok obniża prestiż, związany ze słowem „profesor”. I tak w rzeczywistości, moim zdaniem, było. Opór ciągnął się latami i w niektórych miejscach przetrwał nawet do dziś (w międzyczasie profesor nadzwyczajny zamienił się na profesora uczelni, a profesor zwyczajny w profesora „bezzwłocznego”). Na tych „konserwatywnych” uczelniach w dalszym ciągu panuje obyczaj, iż po habilitacji potrzeba jeszcze, mówiąc kolokwialnie, „coś dorobić”, zwykle trwa to dobrych kilka lat i wymaga osobnych procedur, dokumentacji i recenzji. Wytworzył się zatem dodatkowy szczebel w karierze akademickiej. Nie wiem, jak powszechny jest ten schemat, ale obowiązuje praktycznie na całym moim Uniwersytecie, a także na kilku innych. W obliczu rozpoczętej ostatnio dyskusji w moim Instytucie, przygotowałem krótki balotaż w tej sprawie z pytaniami: czy po habilitacji należy się profesura uczelnicza niezwłocznie, czy może w ciągu roku, dwóch („jeśli nic złego się nie wydarzyło”), czy też stawiamy dodatkowe warunki przy takim awansie (powiększony dorobek, granty, wypromowani doktorzy). Odpowiedzi Rady Instytutu Fizyki Teoretycznej były jednoznaczne: dodatkowe warunki po habilitacji poparła tylko jedna osoba, pozostali powiedzieli się za profesurą uczelni „niezwłocznie lub wkrótce”. Można podsumować to stwierdzeniem, iż według opinii zapytanych dorobek przedstawiony przy habilitacji wyczerpuje ustawowe wymaganie „znaczącego dorobku naukowego”. W tym duchu wypowiedzieli się ankietowani na wszystkich szczeblach kariery. Wynik ankiety był dla mnie sporym zaskoczeniem. Czyżby w tradycyjnie konserwatywnym środowisku szła odwilż? A może zaczyna przeważać pogląd, że obrona dawnego statusu pojęcia „profesor” jest skazana na niepowodzenie?

Ale żeby nie było aż tak „postępowo”, w dyskusji pojawił się też problem profesury uczelniczej bez habilitacji, ustawa dopuszcza taką możliwość, jeszcze bardziej pomniejszając znaczenie tego stopnia. Tu głosy były zgodne, dodatkowe wymagania dla osób z doktoratem, w tym recenzje dorobku naukowego, są konieczne, a w ogóle dopóki istnieje habilitacja, to profesura bez niej dotyczy raczej tylko kandydatów robiących karierę w krajach „niehabilitacyjnych”. Jak widać, 2 lata po wprowadzeniu Ustawy 2.0 na niektórych uczelniach dyskusja na ten temat wciąż gorąca.

Próba zatrzymania „starych dobrych czasów” pojawia się też na innym etapie kariery akademickiej. Znam

co najmniej dwa duże uniwersytety, które utrzymały w tej czy innej formie tytuł profesora zwyczajnego, zniesiony Ustawą 2.0. Mój Uniwersytet zrobił to poprzez regulamin pracy, gdzie w rozdziale ‘Zmiana stanowiska’ wprowadzono tytuł „honorowego profesora zwyczajnego” wraz z procedurą postępowania (jakby zdominując, że w Statucie UJ występuje już inny, bardzo prestiżowy tytuł „profesora honorowego”). Wiem, że status „profesora zwyczajnego” ustanowił również Uniwersytet Warszawski. O ile tego typu jednorazowy krok dałoby się uzasadnić w przypadku dotychczasowych profesorów zwyczajnych, którym Ustawa 2.0 odebrała „zwyczajność”, o tyle usankcjonowanie takiej procedury na stałe oznacza ni mniej, ni więcej jak ustanowienie jeszcze jednego szczebla w karierze.

Policzmy zatem te szczeble po doktoracie: asystent, adiunkt, doktor habilitowany, profesor uczelni, profesor tytularny (brawo, tu udało się skleić tytuł ze stanowiskiem!), status/tytuł (honorowego) profesora zwyczajnego. Ubiegając się o awans, każdorazowo trzeba mieć nowe zasługi, przedstawić dokumentację, zebrać recenzje, czasem wygrać konkurs. Czas poświęcony tym staraniom to, moim zdaniem, czas stracony dla nauki i nauczania.

O utrzymaniu tytułu profesora zwyczajnego również zapytałem moje koleżanki i kolegów z Instytutu. Tak czy nie? I też byłem zaskoczony odpowiedziami. Głosy rozłożyły się po równo. W tym wypadku wydaje się, że powodów było kilka. Po pierwsze, z honorem wiąże się – znowu kolokwialnie – „kasa” – w siatce płac honorowy profesor zwyczajny ma wyższą stawkę niż profesor „bezzwłocznego”. Ale padały również opinie, że profesora tytularnego, często młodego czterdziestolatka, nic już nie czeka do emerytury. Zamiast Nobla chociaż awans na „zwyczajnego”?

W zamyśle nowej ustawy uczelniom wyższym przyznano większą swobodę w kształtowaniu swojej struktury, w tym samodzielne modelowanie kariery akademickiej. Jak różne mogą być rozwiązania, widać to nawet wewnątrz pojedynczej uczelni, którą obserwuję z bliska. Pomimo upływu 2 lat od wprowadzenia nowego prawa wciąż ścierają się dwie koncepcje. Z jednej strony „zarządzania zasobami ludzkimi” i motywowanie poprzez rozbudowaną hierarchię stopni i stanowisk (za takimi rozwiązaniami stoją również znaczące autorytety, np. prof. Piotr Sztompka, PAUza 527). Z drugiej zaś strony wkracza koncepcja kariery z minimalną liczbą szczebli, gdzie motywacją jest ciekawość świata uczonego oraz chęć konkurowania osiągnięciami naukowymi w skali globalnej. Mnie osobiście, zwolennikowi tego drugiego rozwiązania, wystarczyłyby trzy formalne etapy kariery, oczywiście z okresową oceną osiągnięć i powiązany z nimi system wynagrodzeń: asystent-postdoc (dwu- tryletnia posada poza macierzystą uczelnią), adiunkt-doktor (docelowo stała posada po wymagającym konkursie) i profesor (prestiżowy tytuł połączony ze stanowiskiem profesora). No i ewentualnie Nobel.

JERZY SZWED

Uniwersytet Jagielloński